

Marcin Nadratowski



ZŁODZIEJ



Marcin Nadratowski

ZŁODZIEJ

© Copyright by Marcin Nadratowski & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Projekt okładki: Halyna Ustymchuk

ISBN e-book: 978-83-8166-373-1

ISBN druk: 978-83-8166-374-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2023

24.12.1996 POCZĄTEK

Chłopiec siedział na podłodze z watą wciśniętą do uszu. Drewniana, zabawkowa lokomotywa o wyblakłych kolorach skrzypiała, kiedy jeździł nią do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Dźwięk odbijał się od ścian, z każdą sekundą wydawał się nasilać. Na bladej twarzyczce chłopca widać było smugi łez, które odbijały słabe światło rzucane przez zapaloną biurkową lampkę. Łzy musiały być świeże, choć obecnie chłopiec nie płakał. Zaciskał spuchnięte wargi z wyrazem złości na twarzy. Mimo waty, docierały do niego krzyki ojca, który po powrocie do domu najpierw dotkliwie pobił chłopaka, chociaż ten nie zrobił nic złego, a teraz wyżywał się na swojej żonie. A jednak chłopcu nie było jej żal. Miał dopiero pięć lat, ale nie brakowało mu inteligencji i zdążył wyciągnąć pewne wnioski ze swojego upstrzonego przemocą i bólem życia. Zdawał sobie sprawę, że ojciec już się nie zmieni. Z każdym dniem ich życie coraz bardziej przypominało koszmar i nie było widać żadnego światelka w tunelu. Powinni od niego uciec, schować się tak, żeby nigdy ich nie znalazł i zacząć życie na nowo, we dwójkę. A skoro on, pięcioletek, to wiedział, to z pewnością musiała to również wiedzieć jego matka. Mimo to nie zrobiła nic, żeby pomóc im obojgu.

Ojciec często zostawał dłużej w pracy, a przynajmniej tak twierdził. W takie dni mama pozwalała chłopcu

ogłądać razem z nią telewizję. Włączała filmy, bardzo różne filmy, lecz jemu w pamięci zapadł tylko jeden z nich. Mężczyzna znęcał się nad swoją żoną i dziećmi. W końcowych scenach kobieta spakowała bagaże, zadzwoniła na policję i wyjechała do innego miasta, żeby wieść lepsze, szczęśliwe życie. Gdy pojawiły się napisy końcowe, mama rozplakała się i zapewniła chłopca, że oni też tak zrobią, że jak tylko tata wróci, to ona wykrzyczy mu wszystko w twarz, że wszystko się zmieni. Jej zapał utrzymywał się do momentu, w którym usłyszeli pisk opon parkowanego na podjeździe samochodu. Wtedy wszelka odwaga z niej uleciała, ramiona zapadły się, worki pod oczami i zmarszczki pogłębiły, oczy zgasły, wchodząc w tryb obojętności, który tak często włączała, żeby przetrwać swoje osobiste piekło. Kiedyś, w przedszkolu, pani puściła im filmik, na którym w przyspieszonym tempie pokazany był proces wysuszania się kwiatu. Coś bardzo podobnego działo się z matką, gdy do domu wracał jej mąż.

Czasami, kiedy „tatuś” miał gorszy dzień, chłopiec wraz z mamą zamykali się w łazience. Któregoś razu ojciec nie mógł wyważyć drzwi, więc poszedł do piwnicy po siekierę i porąbał framugę w drzazgi. Na szczęście zamek wytrzymał, a ojciec szybko stracił przytomność, bo kto wie, jak skończyłby się ten wieczór.

Odgłosy szamotaniny dobiegające z dołu skutecznie wyrwały chłopca z rozmyślań. Poruszał lokomotywą coraz szybciej, zwiększając tempo wraz ze wzrastającym

natężeniem krzyku rodziców. Puste oczy wyglądały wręcz nienaturalnie, nienormalnie u tak młodego człowieka.

W pewnym momencie z dołu, jeden po drugim, dobiegły go dwa odgłosy. Najpierw głucho uderzenie, a potem huk upadającego na podłogę ciała. Ojciec musiał uderzyć czymś matkę, a ta, nieprzytomna, wyładowała na podłodze. Takie rzeczy zdarzały się regularnie.

Chłopiec znieruchomiał. Wyraz twarzy zmienił się, kiedy zrozumiał, że ojciec nie jest jeszcze na tyle pijany, żeby iść spać. A to oznaczało, że to może być jedna z „tych” nocy. Najgorszych nocy...

Pustkę w oczach dziecka zastąpiło bezkresne przerażenie. Chłopiec podbiegł do drzwi i zamknął je od środka, ale przecież ojciec i tak miał klucz. Sprintem przemierzył swój pokój i wślizgnął się bardziej, niż wszedł, pod łóżko. Nienajlepsza kryjówka, ale instynkt kazał działać, a nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Łzy samoistnie popłynęły po policzkach. Słyszał powolne kroki na schodach...

Przypomniawszy sobie, jak w przedszkolu dzieci opowiadały o swoich planach na święta. Ktoś wyjeżdżał do Warszawy, ktoś inny do Berlina. Do kogoś przyjeżdżali dziadkowie, ktoś jechał do dziadków. Pamiętał również opowieść koleżanki z klasy o tym, jak zbierają się całą rodziną, wychodzą na podwórko i gdy pojawi się pierwsza gwiazdka, każdy wymyśla życzenie na najbliższy rok. Nikt nie zdradza go na głos, a podczas następnej kolacji

wigilijnej opowiadają, jakie mieli życzenia i komu się spełniły.

„A żeby zdechli. Ten pijak – za to wszystko, co robi, i matka – za to, że nie robi nic, żeby go powstrzymać” – pomyślał chłopiec.

– Da się zrobić. Jest jednak warunek – odpowiedział ktoś lodowatym, niskim głosem, dobiegającym z ciemnego rogu pokoju, na wypowiedziane w myślach życzenie dziecka. Chłopiec, który myślał, że nic nie jest w stanie przerazić go bardziej od kroczącego po schodach ojca, przekonał się, że był w błędzie.

SIERPIEŃ, OBECNIE. PONIEDZIAŁEK

Karol wstał dwie minuty przed budzikiem, tak jak zawsze od dobrych kilku lat. Doszedł w tym do takiej perfekcji, że gdy musiał wstać o piątej rano, to ustawiał budzik na dwie po. Prawie nigdy nie potrzebował dzwonka telefonu, a po przebudzeniu szybko wyłączał alarm, żeby nie mącić spokoju innych domowników. Rzadko zdarzało się, żeby potrzebował wysłuchać „Eye of the Tiger”, które ustawione miał jako dźwięk alarmu niezmiennie od czterech lat. Nigdy nie lubił tej piosenki i z pełną premedytacją ustawił ją jako budzik, wiedząc, że jest to najkrótsza droga do znienawidzenia najbardziej nawet ukochanego utworu. Sprytnie postanowił więc wykozystać kawałek, którego i tak nie znosił.

Opuszkami palców potarł zapuchnięte jeszcze oczy, po czym popatrzył na swoją wciąż jeszcze śpiącą żonę, Asię. Uśmiechnął się. Jak zawsze, jej stopa wystawała spod kołdry. Cała reszta ciała była szczelnie okryta, nawet większą część twarzy przykrywała kołdra. Od zawsze spali pod dwoma przykryciami. Pierwsze wspólne noce, kiedy mieli jedną kołdrę, były dla Karola traumatycznym przeżyciem. Jego żona, tak pozytywna i miła w dzień, w nocy zamieniała się w potwora. Wyrzywała mu przykrycie z siłą, której istnienia nikt nie podejrzewałby u tak drobnej istoty. Po pięciu minutach leżała

w czeluściach pościeli niczym królowa na królewskim łożu, a on próbował nakryć się chociaż połową przysługującego mu prześcieradła. Obawiał się, że gdyby nie za-inwestował we własną kołdrę, to ich związek skończyłby się albo rozwodem po maksymalnie roku małżeństwa, albo śmiercią z wyziębienia w pierwszą zimową noc. A tak, byli już sześć lat po ślubie.

Popatrzył jeszcze przez chwilę na żonę tak szczerze przykrytą kołdrą, że przypominała ogromną humano-idealną tortillę, po czym ciężko stoczył się z łóżka. Mimo że budził się bez problemu, to wrzucenie organizmu na pełne obroty zajmowało mu irytująco dużo czasu. Wstał i poszedł do łazienki, włączył ekspresowy tryb higieny, tak jak miał w zwyczaju. Umył zęby, opłukał twarz, pachy i krocze. Jako dziecko wyobrażał sobie, że dorosły mężczyzna musi się też codziennie rano golić. Niestety, gdy Bóg rozdawał bujne owłosienie twarzy, on musiał stać w kolejce po coś innego. Zawsze z zazdrością patrzył na mijanych na ulicy facetów, których oblicza zdobiły ogromne brodziska.

Z cichym westchnieniem wytarł twarz w ręcznik i popatrzył w lustro. Z aprobatą pokiwał głową. Karol Morski miał 185 cm wzrostu, kruczoczarne, krótko ostrzyżone włosy i dość jasną karnację, dzięki czemu dobra makijażystka w pół dnia ucharakteryzowałaby go na idola nastolatek z filmu o wampirach. Z braku laku nosił kozią bródkę. Oczy miał szeroko osadzone, koloru ni to zielonego, ni niebieskiego. Jak każdy szanujący się

mężczyzna, nie rozróżniał odcieni. W ostatnich miesiącach udało mu się zrzucić kilka nadprogramowych kilogramów, głównie dzięki rezygnacji z nocnego podjadania kiełbasy z lodówki i wypijania czteropaka „Warki Strong” każdego wieczoru. Zwiększył też aktywność fizyczną, jednak ćwiczył nieregularnie, najczęściej zwalając swoje lenistwo na pogodę, ciśnienie lub zmęczenie pracą. Jako że korzystał z siłowni w parku – miasto w ostatnich latach zaroilo się od tego typu miejsc – to argument pogody sprawdzał się dość dobrze jesienią i latem, nieco gorzej wiosną, a najlepiej zimą. Z tego powodu jego sylwetka nie wyróżniała się niczym szczególnym – ot, względnie zadbany, niespełna trzydziestoletni mężczyzna.

Powierzchnia lustra zaparowała, uniemożliwiając mu tym samym dalszą samoocenę. Urwał kawałek papieru toaletowego i przetaił taflę, po czym wyszedł z łazienki, przeszedł nago do salonu i stanął przed szafą, aby wybrać dzisiejszy strój. Zdecydował się na swój ulubiony zestaw: koszulka polo i jeansy. Ubrał się i przeszedł do kuchni.

Wynajmowali mieszkanie w Toruniu, w kamienicy przy ulicy Matejki. Budynek nie wyglądał zbyt imponująco. Był stary, toporny i – mimo najszczerzych chęci właścicieli, którzy byli naprawdę porządnymi ludźmi dbającymi o swoich lokatorów – żaden remont nie mógł tego zmienić. W kamienicy były dwa piętra, oni mieszkali na pierwszym. Schody na klatce trzeszczały

jak pokład pirackiego statku podczas sztormu, ze ścian zaczynała powoli odchodzić farba, choć nie tak dawno były malowane.

Na ich mieszkanie składały się cztery pokoje, łazienka i kuchnia. Z klatki schodowej wchodziło się do długiego, wąskiego korytarza. Na jednym jego końcu było dwoje drzwi: wejściowe oraz te prowadzące do najmniejszego pokoju. Po drugiej stronie znajdowało się wejście do sypialni jego i Asi, wejście do łazienki oraz do salonu. Z salonu z kolei można było przejść do kuchni i pokoju Bartka.

Bartek był ich pięcioletnim synem. Oczkiem w głowie Asi i największą miłością Karola. Gdy dowiedzieli się, że zostaną rodzicami, oboje spodziewali się córki. Utwierdzali się w tym bzdurnym przekonaniu do tego stopnia, że kiedy ginekolog na wizycie kontrolnej zdradził im płeć dziecka, oboje sprawiali wrażenie ludzi w szoku pourazowym. Dla postronnego widza wyglądałoby na najgorszych rodziców na świecie, którzy po otrzymaniu informacji, że mogą się spodziewać zdrowego chłopca, patrzą na lekarza jak na wariata, który właśnie oznajmił im narodziny pięcioraczków. Szybko udało im się otrząsnąć, a potem pozostawało już tylko pełne napięcia, ale i szczęścia, oczekiwanie na chłopca.

Karol przygotował sobie kanapki z salami, ogórkiem kiszonym i sosem pikantnym. Miał nadzieję, że połączenie tak wyrazistych smaków choć trochę zmobilizuje

jego zaspane podniebienie do działania. Zaparzył sobie kawę. Zwykle jadał w kuchni, ale Bartek wyjechał na wakacje, a ktoś musiał doglądać jego chomika. Wziął więc ze sobą kubek oraz talerz i przeszedł do pokoju syna.

Na szczęście Bartek nigdy nie miał problemu z nocowaniem poza domem, a za dziadkami wręcz szalał, dlatego postanowili wraz z Asią dać mu szansę na spędzenie dłuższego czasu u rodziców Karola.

Bogdan i Angelika Morscy mieszkali w Lidzbarku, w województwie warmińsko-mazurskim, gdzie prowadzili sklepik spożywczo-monopolowy, co – biorąc pod uwagę zakaz handlu w niedzielę – przynosiło im naprawdę spory zysk. Zwłaszcza latem. Lidzbark to bardzo atrakcyjne turystycznie miejsce ze względu na piękne jezioro i dużą ilość ośrodków wypoczynkowych. Populacja miasteczka wynosiła niecałe dziesięć tysięcy mieszkańców, za to w sezonie ruch był wzmożony jak w najpopularniejszych górskich czy nadmorskich miastach.

Z uśmiechem na ustach i ze swego rodzaju ulgą myślał o rodzicach i ich interesie. Bał się, że nie odnajdą się w nowym dla nich świecie, rządzonym przez emanujące nowoczesnością dyskonty, oferujące nierealne dla małego przedsiębiorcy ceny. Tymczasem wrócił do nich ten stary porządek, który znali. Znów po alkohol w kolejkach ustawiały się dziesiątki ludzi, a przywilej zakupów akurat tego jednego dnia w tygodniu był czymś, na co trzeba było czekać. Czy to dobrze? Każdy miał inne

zdanie na ten temat, ale dla nich okazało się to jedyną możliwością dalszego funkcjonowania w obecnych realiach.

Wszedł do przestronnego pokoju z oknem wychodzącym na ulicę. Ruch w tej części miasta o tej porze nie był wzmożony, ale Karol lubił patrzeć na skąpany w letnim słońcu park, gdzie wiatr poruszał czubkami drzew. Na park wychodziły okna z pokoju Bartka oraz z ich sypialni. Obudzenie Asi o tej porze mogło świadczyć o masochistycznych, wręcz samobójczych skłonnościach. Czasami zastanawiał się, co wybaczyłyby mu łatwiej – wyrwanie ze snu o piątej rano czy zdradę. Wolał tego nie sprawdzać, dlatego swój interes trzymał szczelnie zamknięty w spodniach, a gdy chciał z rana popatrzeć na miasto, szedł do pokoju syna.

Wziął łyk kawy, parząc sobie przy okazji usta. Zagryzł ból kanapką.

Bartek miał hopla na punkcie superbohaterów wszelkiego rodzaju i nie dało się tego nie zauważyć, kiedy patrzyło się na jego gniazdko. Na każdej z jasnoniebieskich ścian jego „królestwa” porozwieszane były plakaty. Z jednego łupał groźnie Superman, z drugiego Batman, z trzeciego Spiderman, a nad drzwiami wisiał długi, poziomy plakat z całą bandą Avengers gotową po raz kolejny ocalić świat. Pościelony tapczan przykryty był kocem z Iron Manem, a wszelkie zeszyty, kolorowanki i kredki znajdujące się na biurku miały nadruki

z kolejnymi herosami, których Karol po prostu nie znał, jako że w kwestii superbohaterów nigdy nie był specjalistą.

Pokój urządzili w prosty sposób. Poza tapczanem stała tu duża, biała szafa na ubrania, regał na książki i komiksy oraz komoda na buciki i bieliznę. Do tego biurko, najzwyczajniejsze ze zwykłych. Na biurku lampka nocna, kalendarz i klatka z chomikiem zwanym Hulkiem. W rogu pokoju dumne miejsce zajmował konik na biegunach, którego na poprzednie święta Bartek dostał od dziadków, a za nim stał wielki kosz na pozostałe zabawki. Kiedy Bartek był w domu, to najczęściej nie dało się przejść od drzwi do okna bez potknięcia się o klocek, figurkę Aquamana albo monster trucka. Teraz jednak panował tu porządek, dowodzący nieobecności lokatora.

Bez większego zaangażowania Karol zdiagnozował stan klatki. Hulk biegał w najlepsze w kołowrotku, było czysto na tyle, na ile może być czysto w klatce chomika. Nie brakowało też ani karmy, ani wody.

Odchylił się na fotelu i ze zdziwieniem stwierdził, że zdążył się już za Bartkiem stęsknić. W piątek po południu odwiózł go do rodziców, tak więc nie minęły nawet trzy pełne dni rozłąki. Początkowo myślał, że po pięciu latach zajmowania się dzieckiem oddanie go na bite dwa tygodnie będzie dla nich jak wakacje, jak złapanie oddechu. Owszem, weekend był cudowny, wykorzystywali nieobecność syna i nie musieli się hamować. Potrzebowali

tych dni dla siebie, ale Karol ze zdziwieniem stwierdził, że gdyby nagle Bartek zadzwonił z prośbą o zabranie go do domu, to pojechałby do Lidzbarka tak szybko, jak tylko byłoby to możliwe.

Morski opuścił w zadumie głowę na klatkę piersiową i, nie wiedząc czemu, nagle poczuł się dziwnie. Ciało pokryła gęsia skórka, odczuł niepokój, którego źródła nie potrafił namierzyć. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nie słyszy żadnego dźwięku dobiegającego z zewnątrz. Dałby sobie uciąć rękę, że jeszcze przed chwilą ulicę wypełniał jednostajny szum samochodów, delikatny gwizd wiatru i pokrzykiwania kogoś, kto w swoim życiu prawdopodobnie wypalił miliony papierosów. Teraz miał wrażenie, jakby ktoś odciął nagłośnienie, nie dobiegał go nawet najmniejszy szmer.

Powoli wstał z fotela i podszedł do okna. Oparł się o parapet i tylko dzięki temu nie przewrócił się bezwładnie jak lalka.

Świat za oknem zamarł.

Drzewa stanęły w miejscu w momencie, kiedy wiatr przechylał ich czubki w lewą stronę. Samotny samochód na ulicy zastygł ze świecącym kierunkowskazem, sugerując, że kierowca zamierza skręcić w lewo. Jednak lampa nie migłała, a świeciła – nieprzerwanie, pomarańczowo. Pijaczek zbliżający się od strony ulicy Mickiewicza zatrzymał się w pół kroku. Przypominał mima na suto zakrapianej imprezie, popisującego się

swoimi umiejętnościami. Kot odprawiający w najlepsze poranną higienę zastygł z językiem na brzuchu. Wrona zatrzymała się w miejscu, zawisła nieruchomo w powietrzu pół metra od okna, czego na pewno w normalnych okolicznościach wrony robić nie potrafią. Całość wyglądała tak, jakby ktoś wstawił idealnej jakości i rozmiaru zdjęcie w ramy okienne.

Karol rozejrzył się wokół oszołomiony. W mieszkaniu wszystko wydawało się być normalne. Zegarek, z którym się nie rozstawał, pokazywał godzinę 5.23, sekundnik chodził tak, jak powinien. Hulk biegał jak szalony w swoim kołowrotku.

Powrócił spojrzeniem do okna. Z rosnącym przerażeniem patrzył na stagnację na zewnątrz. Gdzieś z oddali, od strony parku, dobiegł go ledwie słyszalny dźwięk. Z każdą chwilą narastał, brzmiąc, jak powoli wyciągany korek z wanny wypełnionej wodą. Nagle wraz z odgłosem, który w kulminacyjnym punkcie przypominał już raczej otwarcie butelki szampana, świat się obudził.

Zza okna dobiegał bełkotliwy krzyk pijaczka, który zrobił w końcu krok do przodu. Samochód ruszył z miejsca, nie powoli, a od razu z dużą prędkością. Kierunkowskaz zaczął migać, tak jak kierunkowskazom robić wypada. Kot kontynuował poranną toaletę, a gdy skończył, przeciągnął się leniwie i zeskoczył z murku. Wrona zniknęła, wylatując gdzieś poza sferę widoczną dla Karola. Ptak, tak samo jak i cała reszta, nie sprawiał

wrażenia, jakby w ostatnich minutach wydarzyło się co-
kolwiek wartego uwagi.

Życie toczyło się dalej i wszystko wyglądało tak, jakby
ktoś po prostu na chwilę spauzował świat, czego nie do-
strzegł nikt, poza Karolem Morskim.

Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, patrząc za okno,
i tylko jego gałki oczne skakały niespokojnie z obiektu
na obiekt, szukając potwierdzenia tego, czego chwilę
temu były świadkiem. Mózg próbował przetworzyć to,
co się właśnie wydarzyło, znaleźć wytłumaczenie, choć
była to próba z góry skazana na porażkę. Bełkot pi-
jaka przycichał z minuty na minutę, kiedy ten najpierw
minął okno Karola, a następnie oddalił się w kierunku
ulicy Kraszewskiego. W końcu zniknął mu z oczu, zo-
stawiając Morskiego sam na sam z natłokiem myśli.

Kot leniwie przechadzał się to w jedną, to w drugą
stronę po ulicy. Przysiadł, liznął się po brzuchu, dodając
sobie animuszu, wstał i potruchtał dziarsko w stronę
parku. Samochód był już prawdopodobnie w okolicach
galerii Plaza. Zaspany kierowca podśpiewywał sobie
hity z radia razem z wokalistami, próbując nabrać do-
brej energii na początku tygodnia. A może jechał wła-
śnie na urlop, ze szczęśliwie bezmyślnym wyrazem
twarzy, i rozmyślał, jak to będzie wylegiwać się na plaży
i oglądać młode dziewczyny w strojach kąpielowych?

Karol znajdował się na przeciwnym biegunie, będąc prawdopodobnie najbardziej przerażonym człowiekiem w mieście.

Otrząsnął się z letargu. Otrzeptał się jak pies po wyjściu z wody. Nie rozumiał tego, co zobaczył i czego był świadkiem. Nie miał pojęcia, jak się zachować. Pierwszy raz od bardzo dawna czuł się tak bezradny, ale musiał coś postanowić, a nie miał zbyt wielu możliwości. Mógł stać w pokoju syna przez kolejne minuty, godziny albo nawet dni, jednak nie miał żadnej gwarancji, że w jakikolwiek sposób mu to pomoże. Druga opcja, to spróbować przejść nad tym wydarzeniem do porządku dziennego na tyle, na ile było to możliwe.

Do pracy kierował się, będąc wciąż w kompletnym oszołomieniu. Wyszedł z mieszkania w dwóch różnych butach, zorientował się dopiero na klatce schodowej. Po wyjściu z kamienicy ruszył w stronę skrzyżowania z ulicą Kraszewskiego i skręcił w prawo. Postanowił przejść się pieszo, jako że obecnie remontowali mieszkanie w dość bliskiej okolicy, a on potrzebował samotnego spaceru.

Próbował skupić się na pracy. Jego dwaj znajomi z liceum założyli własną małą firmę remontową, Jurek zajmował się papierami, Wojtek odpowiadał za zaopatrzenie. Zatrudniali Karola i Darka jako główną siłę roboczą. Podział ten odpowiadał każdemu z nich, dlatego – jak do tej pory – obywało się bez większych tarć pomiędzy pracownikami. Finansowo również nie mieli na

co narzekać – nawet w najgorszych okresach wychodzili na swoje. Większość pieniędzy Karol dostawał w postaci premii uzależnionej od dochodu firmy, jednak sama podstawa również wystarczała na przeżycie „od pierwszego do pierwszego”. Tak czy siak, nigdy nie udało mu się odłożyć większych kwot, nawet kiedy rok temu przez kilka miesięcy z rzędu dodatek do wypłaty był dwa razy wyższy niż sama podstawa. Najzwyczajniej w świecie wychodził z założenia, że zarabianie pieniędzy i składowanie środków na lokatach czy kontach oszczędnościowych mija się z celem. Praca wykonywana po to, żeby móc zwiększać cyferki na wirtualnym koncie i nigdy nie zrobić z nich użytku była dla niego równie sensowna jak kupno sportowego samochodu i trzymanie go w garażu. Zdawał sobie sprawę, że wielu ludzi tak funkcjonuje, ale on nie potrafił.

Minął zakład ubezpieczeniowy oraz supermarket znajdujący się po drugiej stronie ulicy. Pasy ruchu oddzielało torowisko tramwajowe. Ulica była ruchliwa, łączyła drogę wyjazdową na Grudziądz z wylotówką na Bydgoszcz, biegnąc równocześnie dość blisko toruńskiej starówki. Mieszkanie, do którego zmierzał, było położone zaledwie dwa przystanki od jego kamienicy. Tramwajem docierał na miejsce w kilka minut, piesza wędrownica nie powinna trwać dłużej niż pół godziny.

Szedł z nieobecny wzrokiem. Wdychał głęboko ciepłe, letnie powietrze, chociaż akurat tego dnia wolałby

chłód. Przydałby mu się powiew orzeźwienia. Nie miał jednak prawa na to liczyć, w ostatnich tygodniach lato rozbijało się na dobre i nic nie wskazywało na rychłą zmianę.

W myślach próbował racjonalizować to, co wydarzyło się rano. Wmówić sobie, że po prostu na chwilę przysnął, z powodu wczesnej pory. Tłumił ze wszystkich sił głos podświadomości podpowiadający, że oszukuje sam siebie. Nigdy nie miał tak wyrazistych snów jak to, czego doświadczył rano. W ogóle rzadko śnił, a jak już mu się zdarzyło, to minutę po przebudzeniu zapominał o czym. Natomiast obraz zza okna widział bardzo wyraźnie.

Jeśli nie był to sen, jakie mogło być inne wyjaśnienie? Choroba psychiczna? Inaczej wyobrażał sobie tego typu przypadłości, chociaż wiedzy w tym temacie mu brakowało. Być może istnieje schorzenie objawiające się wrażeniem, że świat wokół się zatrzymuje. Poczyta o tym wieczorem, poszuka wyjaśnień. Problem w tym, że do tychczas nic nie wskazywało na jakąkolwiek chorobę, coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu.

A może podchodzi do problemu ze złej strony? Może to nie w psychice powinien szukać? Może gdzieś w jego mózgu lub ciele znajduje się jakiś neuron, który z powodu choroby nie przekazał odpowiednio informacji, nie wysłał impulsu na czas, tak jak powinien? Nie znał się również na neurobiologii, ale podejrzewał, że było to możliwe. W to byłby skłonny uwierzyć, gdyby nie jeden mały szczegół. W tym samym czasie, kiedy świat

za oknem zamarł, Hulk bił chomikowy rekord ilości obrotów kołowrotka na minutę. Żaden neuron raczej nie wybierał sobie, które informacje przekazać, a których nie warto. A może wybierał? Kolejna rzecz do sprawdzenia.

Wyobraźnia podsuwała mu najśmielsze scenariusze. Chciał złapać się czegokolwiek, jednak gdy tylko chwycił się pomysłu, ten trząsknął jak cienka, naderwana lina holownicza próbująca utrzymać w porcie ważący kilkaset ton statek.

Kiedy tak szedł zamyślony, kątem oka dostrzegł mijający go tramwaj. Odwrócił na chwilę wzrok w jego stronę i zobaczył, że twarze pasażerów w każdym oknie są zwrócone w jego kierunku. Ich spojrzenia były mętne, nieprzytomne. Zdążył zarejestrować w jednym z okien starszą kobietę, o twarzy gęsto pokrytej zmarszczkami. W kolejnym dostrzegł piękną, młodą dziewczynę o jasnych, kręconych włosach. Na końcu składu podróżowała matka z dwójką dzieci. Starsza dziewczynka mogła być w wieku Bartka. Chłopiec zaś miał najwyżej trzy lata i siedział na kolanach u mamy. Pomiedzy tymi postaciami widział innych pasażerów – kobiety i mężczyzn w średnim wieku, nastoletnią parkę trzymającą się za rękę. Wszystkich łączyło jedno: gapili się na niego.

Wizja zniknęła w ułamku sekundy, a pasażerowie już wpatrywali się w swoje smartfony, książki lub po prostu spoglądali za okno. Starsza kobieta rozwiązywała krzyżówki. Młoda dziewczyna z jakże popularnym wśród studentów zielonym zakreślaczem w dłoni bazgrała po

zeszycie formatu A5. Jakby kolorowała kartkę, patrząc uważnie, żeby nie zostawić białego miejsca, a nie podkreślała ważne informacje. Kobieta na końcu wagonu siedziała z chłopcem na kolanach, podczas gdy ten bawił się z siostrą schowaną za plecami mamy. Dziewczynka wystawiała lalkę – to nad głowę mamy, to z boku – a chłopczyk nieudolnie próbował złapać zabawkę. Oboje się śmiali, a z ich ponurych twarzących sprzed chwili nie pozostał nawet ślad.

Staął i – pomimo upału – na całym ciele poczuł nieprzyjemny prąd lodowatego powietrza. Ręce mu drżały. Tramwaj zniknął już z zasięgu wzroku, a on dalej nie potrafił zmusić się do ruchu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wziąć urlopu na żądanie. Ostatnio zdarzyło mu się to pięć lat temu. Miał końskie zdrowie, a nawet jeśli coś mu dolegało, to wołał to rozchodzić, niż wyleżeć. Jednak ten dzień nie przypominał niczego, co przeżył w ciągu całego swojego dotychczasowego, spokojnego i szczęśliwego życia. Może to był odpowiedni moment, żeby posiedzieć w domu, uspokoić się, napić rumianku, a w razie konieczności – popić wódką? Wiedział jednak, że Asia i tak będzie spała jeszcze co najmniej dwie godziny. Później wstanie i z pewnością będzie dopytywała, dlaczego nie jest w pracy, co się stało. I co miałby jej odpowiedzieć? „Świat się zawiesza jak Windows Vista, a ludzie z tramwaju się na mnie gapią, dlatego postanowiłem odpocząć w domu”. Nie brzmiało to najlepiej.